

🐦: Urodzony w Słupsku, dorastał w Gdyni, uczył się w szkole muzycznej w Bydgoszczy, ukończył szkołę teatralną w Warszawie.

KACPER KUSZEWSKI: Sugeruje pan, że będę miał problem z odpowiedzią na pytanie, skąd jestem?

Może pan odpowiedzieć jak były prezydent.

Właściwie tak. Jestem z Polski, a konkretnie to z Polski północnej. Moi rodzice byli aktorami. W tamtych czasach oznaczało to częste przeprowadzki. Były one możliwe, bo w dawnym systemie wszędzie otrzymywało się podobną pensję i mieszkanie służbowe od teatru. Stąd te podróże. Urodziłem się w Słupsku choć mieszkaliśmy wtedy w Koszalinie, gdzie tato był dyrektorem teatru. Dzieciństwo jednak spędziłem w Gdyni i mam poczucie, że to jest moje miasto rodzinne. Kiedy wyrzucono mnie ze szkoły muzycznej w Gdańsku...

Wyrzucono?

Tak. Nie tylko dlatego, że oblałem egzamin z fortepianu, ale też okazałem się bardzo krnąbrnym uczniem, który przysparzał problemów nauczycielom.

Pan, uchodzący za spokojnego, dobrze ułożonego, nieskorego do buntu chłopaka?

Ha! Ha! Ha! Byłem trudnym uczniem, bo chciałem być traktowany przez nauczycieli po partnersku. Potrafiłem przy całej klasie kategorycznym tonem domagać się wyjaśnień, dlaczego ktoś dostał taką ocenę, a nie inną, powołując się przy tym na kodeks ucznia. W tamtych czasach to było nie do pomyślenia! Poza tym szkoła wtedy mało mnie interesowała, byłem pochłonięty moim debiutem teatralnym w gdyńskim Teatrze Muzycznym. Znalazłem się bowiem w obsadzie musicalu „Les Misérables” („Nędznicy”), światowego hitu w reżyserii ówczesnego dyrektora tej sceny Jerzego Gruzy. W zespole teatru było wielu studentów studium wokalnno-aktorskiego, którzy traktowali mnie jak młodszego kolegę. Ten świat znacznie bardziej mi się podobał niż szkoła.

A jednak skończył pan szkołę muzyczną.

Tak, ale w Bydgoszczy, bo bardzo chcieli tego rodzice. Zmieniłem środowisko, trafiłem na lepszych nauczycieli i tamtejszą szkołę skończyłem z czerwonym paskiem i wyróżnieniem. Można powiedzieć, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Wróćmy jednak do Gdyni, jak trafił pan na deski Teatru Muzycznego?

Jerzy Gruza był naszym sąsiadem, mieszkał w Gdyni w tym samym bloku, co moi rodzice i ja. Jako dziecko lubiłem sobie śpiewać na klatce schodowej, bo głos się

pięknie rozchodził. Sąsiedzi nie dzielali moich zachwyków, ale pan Jerzy był innego zdania. Powiedział, że przygotowuje „Nędzników” i widziałby mnie w postaci niesfornego chłopaka. Poszedłem na przesłuchania i otrzymałem rolę Gawrosza.

Skoro mówimy o ważnych postaciach w pańskiej drodze artystycznej, to często wymienia pan nazwisko Anny Seniuk.

Anna Seniuk była opiekunem naszego roku w warszawskiej Akademii Teatralnej, a kiedy skończyłem studia, zaproponowała mi, bym został jej asystentem. I mam poczucie, że przez ten okres

swego kabaretu, który chciała zasilić utalentowaną młodzieżą. Grałem na Scenie Prezentacje. Byłem asystentem w Akademii Teatralnej, a rok po szkole zaczął się serial „M jak miłość”. Kiedy przeczytałem scenariusz i poznałem obsadę, nie miałem wątpliwości, że warto się z tym związać.

Czy ten serial nie staje się dla pana obciążeniem? Kilka razy pojawiały się wiadomości, że pan chce z niego odejść.

To były wieści wysane z palca. Owszem, w którymś momencie poprosiłem o rodzaj „urlopu bezpłatnego”, bo chciałem się skupić na pracy w Teatrze Pieśń Kozła. Ale wtedy producenci postanowili, że

ten zawód traktuję jako ciągłe wyzwanie.

Podobno myślał pan nawet o stworzeniu własnego teatru...

Tak, i podjęliśmy taką próbę, bo myśleliśmy o tym we czwórkę. Z Agatą Buzek, Anną Gajewską i Michałem Sieczkowskim utworzyliśmy fundację Przestrzeń Wymiany Działań Arteria, by pozyskiwać środki na realizację naszych pomysłów.

Udało się?

I tak, i nie. Stworzyliśmy spektakl ogromnie ambitny: sięgnęliśmy po wczesną sztukę Bernarda-Marie Koltèsa, niegraną wcześniej w Polsce, pt. „Sallinger”. Była koprodukcją



SEAWOMIR MIELNIK

polsko-czesko-francuską, co pozwoliło pozyskać środki międzynarodowe. Postanowiliśmy zrealizować ten projekt na powstającej wówczas scenie teatralnej w Fabryce Trzciny z dyrektorem artystyczną Magdaleną Łazarkiewicz. Kiedy wszystko było już przygotowane, zaczęło się typowe polskie piekielko. Magda zorientowała się, że ma być w tej instytucji tylko marionetką, a z panią, która sprawowała faktyczne rządy, ani jej, ani nam nie było po drodze. Włożyliśmy zatem mnóstwo pieniędzy, czasu i energii w coś pięknego, szlachetnego, awangardowego, co wyprzedzało swój czas, a ponieważ spotkało się z niechęcią i całkowitym brakiem promocji – szybko upadło. Zrealizowaliśmy jeszcze kilka mniejszych projektów, ale zrozumieliśmy, że 90 proc. naszego wysiłku idzie na sprawy organizacyjno-administracyjno-finansowe, a nie o to nam chodziło. Zostawiliśmy więc Arterię w rękach człowieka, który dzięki niej realizuje Festiwal Filmowy Pięć Smaków, jedyny w Polsce przegląd kinematografii azjatyckiej, który z roku na rok zyskuje sobie coraz większe uznanie.

Ciągle nie wiem, jak z bajki o Sindbadzie Żeglarzu popłynął pan do Pieśni Kozła.

Potrójne imieniny w państwowe święto

KACPER KUSZEWSKI | Marek z „M jak Miłość”

to mały wyimek jego artystycznej biografii.

Sprawdza się w teatrze klasycznym, kabarecie,

teatrze eksperymentalnym, wystąpił w „Tańcu

z gwiazdami”, „Jak oni śpiewają”. Jury „Twoja

twarz brzmi znajomo" doprowadził do płaczu.

pod jej opieką więcej nauczyłem się niż przez lata studiów.

Jeśli dotychczasowe pańskie życie byłoby powieścią, byłaby ona pełna niespodzianek, zaskoczeń i zwrotów akcji.

Myślę, że wbrew pozorom układa się ono w jakąś logiczną całość.

Spójrzmy więc choćby na wybór teatrów: „Przygody Sindbada Żeglarza” w najbardziej klasycznym Teatrze Polskim w Warszawie, a potem współpraca z elitarnym Teatrem Pieśń Kozła, który wraca do korzeni teatru.

Rzeczywiście, dziwnie się to plecie. Dorastałem w teatrze, on był zawsze moją wielką miłością. Ciągłe jednak uważam się za artystę poszukującego i nie widziałem siebie w teatrze etatowym. Tak mi się ułożyło, że nie musiałem walczyć o rolę, bo one same przychodziły. Olga Lipińska obejrzała nasze przedstawienie dyplomowe i od razu po szkole zaprosiła mnie do

mój bohater będzie miał groźny wypadek i będzie leżał w śpiączce. Wyłączony byłem więc na pewien czas z serialu i mogłem realizować się teatralnie. Udział w tym serialu ma dla mnie wiele atutów. Poza stabilizacją finansową daje rozpoznawalność, co dla aktora jest rzeczą ważną. Dobrze się czuję w towarzystwie filmowej rodziny, scenarzyści budują tę postać interesująco. A były czasy, kiedy mieliśmy dziewięćmilionową widownię. Rzec nie do pogardzenia.

Mając w pamięci Marka Mostowiaka, jadę na festiwal do Edynburga... i oglądam zachwycające, dotykające źródeł teatru, rytuału, widowisko pt. „Pieśni Leara” w wykonaniu wrocławskiego Teatru Pieśń Kozła, i w jego międzynarodowym zespole widzę Kacpra Kuszewskiego. Myślę sobie: Kuszewski? Ten „serialowy” Kuszewski?

To kolejny dowód na to, że nie lubię stać w miejscu, wiązać się etatem, przesiadywać w bufecie, że

Jarosław Kilian zaprosił Pieśń Kozła do Teatru Polskiego i Grzegorz Bral zaproponował, że poprowadzi jednodniowe warsztaty dla aktorów naszego teatru. Poszedłem z ciekawości i oniemiałem. Zobaczyłem to, czego szukałem zawsze w teatrze i nigdy dotąd nie znalazłem. Takie podejście do pracy aktora, takie myślenie o teatrze, taki rodzaj zespołowości, ciągłe samodoskonalenie się, poznawanie własnych możliwości. Codzienna podróż w głąb siebie. To było objawienie. Spektakl, który był rodzajem transu zarówno dla aktorów, jak i dla widzów.

Ta ciągła potrzeba poznawania własnych możliwości chyba towarzyszy panu nadal. Stąd udział w „Tańcu z gwiazdami”, „Jak oni śpiewają” czy ostatnio „Twoja twarz brzmi znajomo”.

Kiedy wybierałem się do szkoły teatralnej, aktorów w wywiadach pytano o sens życia, o cele sztuki, o dogłębną analizę losu ludzkiego poprzez twórczość teatralną itp., a kiedy kończyłem szkołę teatralną, aktorzy pytani byli o to, jakich kremów używają, jaką supkę lubią najbardziej i dokąd jeżdżą na wakacje. Odnalezienie się w tym nie było łatwe. Ciągłe powtarzam sobie, że istotą aktorstwa jest pełna gotowość, by każdego wieczora być na scenie kimś zupełnie innym.

Ale i ciągle inwestować w siebie.

Tak. Tego typu produkcje dają wielką możliwość indywidualnego rozwoju. W „Jak oni śpiewają” moją trenerką była świetna wokalistka jazzowa Anna Stępniewska, od której wiele się nauczyłem, mierząc się co tydzień z innym gatunkiem muzycznym. „Taniec z gwiazdami” to chyba najtrudniejsze, najbardziej wyczerpujące zadanie zawodowe, którego się podjąłem. „Twoja twarz brzmi znajomo” to z kolei wielkie wyzwanie aktorskie, ale też w pewnym sensie edukacyjne, bo o istnieniu niektórych wykonawców nie miałem wcześniej pojęcia.

Ma pan w sobie gen zwycięzcy?

Nic na siłę. Ale ciężko mieć frajdę z tego zawodu, kiedy się nie odnosi sukcesów. Choć sukces nie dla każdego może znaczyć to samo.

To porozmawiajmy o życiu prywatnym. Jak przyjął pan decyzję Sejmu, by Święto Trzech Króli było świętem państwowym?

Ze zdziwieniem. Jestem ateistą i zwolennikiem świeckiego państwa. Korzyść dla mnie jest taka, że mogę teraz w dzień wolny od pracy świętować moje potrójne imieniny, bo rodzice z artystyczną fantazją dali mi imiona Kacper Melchior Baltazar. I wszystkie trzy mam w dowodzie! ☺

—rozmawiał
Jan Bończa-Szabłowski